

**WOJCIECH  
CHMIELARZ  
DŁUGA NOC**

MARGINESY

Copyright © by Wojciech Chmielarz

Copyright © by Wydawnictwo Marginesy, Warszawa 2022

## PROLOG

Chłopcy po skończonej robocie usiedli przy ognisku. Chociaż kupa suchych liści i patyków, które paliły się tak, że dawały więcej dymu niż ognia, ledwo zasługiwała na tę nazwę. Michał naciągnął kaptur na głowę i wbijał wzrok w ekran migającej jak stroboskopowa lampa komórki. Andrzej założył bezprzewodowe słuchawki i słuchał muzyki, wpatrzony w przestrzeń przed sobą. Mortka natomiast stał kilkanaście metrów za nimi i myślał o tym, że ten dom jest po prostu za duży. Rodzice mogli wędrować po nim całymi dniami i prawie się nie spotykać. Ojciec siedział w swoim gabinecie, czytał i układał pasjansa, matka większość czasu spędzała w kuchni i ogrodzie. Zresztą też tak ogromnym, że do sprzątania przed zimą potrzebowali pomocy. Szczęśliwie, akurat był w Polsce, chociaż zdziwiła go ich prośba. Na porządku jego zdaniem było zdecydowanie zbyt wcześnie. Jeszcze bardziej się zdumiał, kiedy niemal zaraz po rodzicach zadzwoniła do niego Ola.

– Weźmiesz ze sobą chłopaków – oznajmiła.

Nie skojarzył jej telefonu z przeprowadzoną przed godziną rozmową.

– Gdzie?

Gorączkowo próbował sobie przypomnieć, czy coś im wcześniej obiecał. Ale nic mu nie przychodziło do głowy. Zapomniał? Wydawało się to mało prawdopodobne. Kiedy już przyjeżdżał do kraju, każdy dzień miał zaplanowany prawie co do godziny.

Wszystko wpisane w kalendarz. I ten papierowy, który nosił w torbie, i ten w komórce.

– Do dziadków. Sprzątać w ogrodzie. Jedziesz do swojego ojca jutro, nie?

– No tak.

– No to ich weźmiesz.

– A skąd w ogóle ten pomysł?

– Od nich.

– Od moich rodziców? Przecież sam to ogarnę.

– Od Andrzeja i Michała.

– Naprawdę? – zdziwił się.

Westchnęła do słuchawki.

– Kuba – powiedziała – z tobą to może i prawie nie mają kontaktu, ale wierz mi, dbam o to, żeby regularnie rozmawiali z dziadkami. Z jednymi i z drugimi. Uważam, że to ważne. Zadzwonili do dziadka, dziadek powiedział im o ogrodzie, zaoferowali pomoc. Jutro jadą z tobą.

– Ale w obecnej sytuacji? Myślisz, że to mądre?

– Twój tata się zgodził, a jest cholernym lekarzem, nie? Poza tym będziecie przecież cały czas na dworze, prawda?

– Tak, ale...

– Kuba! – przerwała mu ostro, wyraźnie zirytowana. – Oprócz tego, że chcą się spotkać z dziadkami, dobrze by było, żeby spędzili trochę czasu z własnym ojcem. Nie uważasz?

Co miał jej odpowiedzieć? Nie chciał przyznać, że w ich towarzystwie czuł się nieswojo. Mieli mało wspólnych tematów, jeszcze mniej wspomnień. Odwiedzili go dwa razy w Hadze. Pokazał im miasto, zabrał nad morze i na wycieczkę do Amsterdamu. Kiedyś w wakacje jeździli wspólnie na tydzień w góry lub nad jezioro, ale kilka lat temu zaczął się ten czas, kiedy zamiast spędzać lato z rodzicami, woleli jeździć na obozy ze znajomymi albo szlajac się od jednego pola namiotowego do drugiego. Nie byli dla niego

obcymi ludźmi, do takiego stwierdzenia by się nie posunął, ale w gruncie rzeczy niewiele ich łączyło.

Ojciec trącił go lekko w ramię i podał mu kubek z gorącą herbatą.

– Na pewno nie chcesz piwa? – zapytał, sam trzymając w dłoni puszkę Tyskiego.

– Przecież wiesz, że będę prowadzić.

– Po jednym podobno można.

– Podobno – mruknął Mortka.

Wziął herbatę i upił łyk. Ojciec stanął obok niego. Niewiarygodne, ale był od niego wyższy. Mortka nie rozumiał, jak to możliwe. Dzieci przecież powinny przerosnąć rodziców. Andrzej już od dawna patrzył na niego z góry. Teraz był wielkim napakowanym facetem, który sprawiał wrażenie, jakby wciąż się do tego nie przyzwyczał. Michał był drobniejszy, szczuplejszy, delikatniejszy. Ola mówiła, że ich syn ma palce pianisty. Ojciec powtarzał, że to ręce chirurga, i uśmiechał się przy tym zadowolony. Miał pewnie nadzieję, że wnuk pójdzie w jego ślady. Przy całej swojej chudości Michał przerastał Kubę już o pięć centymetrów. I tak, z całej czwórki to Mortka był tym najniższym.

– Myślisz o tym, jak spieprzyłeś?

– Słucham?

Ojciec wyciągnął rękę z piwem i palcem wskazał najpierw na Andrzeja, a potem Michała.

– To. Jak to spieprzyłeś. Ojcostwo.

– Nie – odpowiedział Mortka.

Nie wiedział, co napadło ojca, że wyskoczył z takim tekstem, ale wiedział, do czego to doprowadzi – do kolejnej kłótni, a on ani jej nie chciał, ani jej nie potrzebował. W sumie ten dzień potoczył się lepiej, niż się spodziewał. W samochodzie niewiele mówili, ale słuchał kawałków, które na przemian puszczała ze Spotify Andrzej z Michałem. To było prawie jak rozmowa. Na miejscu rodzice

miło ich przywitani. Zjedli obiad na dworze, popracowali, a teraz był przyjemnie zmęczony. Chciał zachować to wspomnienie dobrego jesiennego dnia.

Ojciec pociągnął z puszki i skrzywił się, jakby piwo mu nie smakowało.

– Kłamiesz – powiedział. – Ale nie przejmuj się. Każdy to spierdolił, mniej lub bardziej. To jeden z uroków ojcostwa, nie? Nikt cię tego nigdy nie uczył, nie wiesz, co masz zrobić, starasz się być trochę lepszy od swojego ojca, ale nikt ci nie mówi, czy to dobra droga, czy zła. Najgorsze jest to, że tych wszystkich błędów, które popełniłeś, nie da się naprawić. Zostają na zawsze. Niby moja praca powinna mnie nauczyć, jak sobie z tym radzić, bo wiesz, w medycynie jest tak samo. Spierdolisz, szczególnie na stole operacyjnym, to musisz z tym żyć i tyle. Tworzysz różne strategie obronne, zakładasz maskę cynika, traktujesz pacjentów jak worek mięsa, a wszystko po to, żeby nie myśleć o tym, co mogłeś zrobić lepiej. Ale z dziećmi... Z dziećmi tak się nie da. Nie da się zbudować tego muru, udawać, że nic się nie stało. Spierdoliłeś, to spierdoliłeś. Nieustannie widzisz konsekwencje swoich błędów, ale wiesz, co jest naprawdę piękne?

– Co?

– Koniec końców okazuje się, że nie spierdoliłeś aż tak bardzo. A te błędy, które popełniłeś... albo wydawało ci się, że popełniłeś... no, w każdym razie wyszły wszystkim na dobre.

Mortka powoli skinął głową. Przez chwilę zastanawiał się, czym była cała ta przemowa. Radami rodzicielskimi? Przeprrosinami? Przecież ojciec przez długie lata dawał do zrozumienia, jak bardzo jest zawiedziony wyborami zawodowymi swojego syna. Wreszcie Kuba uznał, że najbliższe temu było do stwierdzenia „jestem z ciebie dumny”.

Stuknęli się, ojciec puszką, on kubkiem z herbatą. Michał poruszył się na pieńku. Wstał, otrząpał spodnie, znowu usiadł.

Przez cały ten czas nawet nie zerknął w ich stronę, nieustannie wpatrzony w ekran komórki.

– Faktycznie w tej Holandii tak strasznie? – zapytał ojciec.

Mortka skinął głową.

– Kolega zmarł na ten syf – powiedział po chwili. – Louis. Belg. Młody facet. Sprawny. Biegał maratony, takie hobby. W domu miał szafę z medalami z całego świata. Zachorował i zajęło to ledwo dwa tygodnie. Był człowiek, nie ma człowieka.

– Ale uważasz tam na siebie?

– Pracujemy zdalnie na tyle, na ile się da.

Ojciec zaśmiał się krótko.

– Policjanci pracujący zdalnie. Łapiesz złodziei zza ekranu komputera?

– Złodziei i morderców – potwierdził z uśmiechem Mortka.

Przez chwilę stali obok siebie w milczeniu. Herbata przyjemnie grzała policjanta w ręce. Zastanawiał się, czy jego synom nie jest zimno, bo chociaż przez cały dzień świeciło słońce, jakby jeszcze było lato, teraz, pod wieczór, temperatura gwałtownie spada. Ale miał tyle zdrowego rozsądku, że nie zwrócił im uwagi, by ciepiej się ubrali.

– U nas był spokój w sumie – odezwał się ojciec. – Mało osób chorowało. Jasne, strach był, ale miałem nadzieję, że przejdzie bokiem.

– Wiem. Śledziłem te liczby.

– Jak wszyscy, Jakub, jak wszyscy. Ale teraz... Robi się kiepsko. Będziemy mieć tu Bergamo. I to razy dwa.

– W powiecie? W województwie?

– W Polsce – sprecyzował ojciec. – Cały kraj zamieni się w jedną wielką umieralnię.

– Może nie będzie tak źle – odezwał się ostrożnie.

– A co? Też uwierzyłeś w to pierdolenie, że wirus jest w odrocie? – Ojciec roześmiał się krótko. – Nie. Pozmiatane jest,

Kuba. Nawet jakbyśmy cały kraj teraz zamknęli, jak w marcu, to nic nie da. Poszły konie po betonie.

– To na siebie uważajcie – powiedział i natychmiast zrozumiał, jak idiotycznie zabrzmiała ta rada. Jakby po prostu machnął ręką na to wszystko, co powiedział ojciec. – Ja muszę wracać do Holandii, ale może mogę coś zrobić...

Ojciec pokręcił głową.

– Damy sobie radę z matką. Tylko że... – Zawiesił głos.

– Że co? – zapytał zaniepokojony Mortka, bo po minie ojca widział, że nie ma co liczyć na dobre wiadomości.

– Dzwonił Mirek Kluska. Kojarzysz go?

– Twój kolega z pracy?

– No. Jest teraz dyrektorem szpitala. I pytał, czybym nie wrócił do roboty. Na tydzień, dwa. Może miesiąc, góra. Bo wiesz... jeszcze się na dobre nie zaczęło, a już im brakuje ludzi.

– Muszą być naprawdę zdesperowani, skoro wydzwanają do emerytów.

– No właśnie...

– Ale ty nie pójdziesz, prawda?

Ojciec nie odpowiedział. Wolał się schować za puszką Tyskiego.

– Chryste! Ojciec! – krzyknął Mortka. – Nie chcę ci wypominać wieku, ale jesteś stary. Jesteś w cholernej grupie ryzyka! I chcesz iść w sam środek tego pierdolnika? Odbiło ci?! Ty masz w ogóle jeszcze prawo do wykonywania zawodu?

– Daj mi spokój, Jakub. Myślisz, że matka już mi nie wierciła dziury w brzuchu? Ludzie zaraz będą umierać, rozumiesz? Setkami, może nawet tysiącami. Dzień w dzień. Jeśli mamy uratować choć paru, to potrzebujemy lekarzy. A ja, tak się składa, jestem lekarzem.

– Emerytowanym.

– Ale lekarzem, Kuba.



– Tato...

– Powiedz mi, Kuba – przerwał mu ojciec. – Gdybyś wiedział, tak jak ja, co się wydarzy. Gdybyś wiedział, co trzeba zrobić. Jak byś się zachował?

Tym razem to policjant się nie odezwał. Choć znał odpowiedź na to pytanie. Nawet nie musiał się nad nią zastanawiać. Po prostu od razu, automatycznie, pojawiła się w jego głowie. Tacy przecież byli. Ojciec i syn. Zawsze robili to, co było trzeba. Bez względu na koszty.

A potem dotarła do niego jeszcze jedna rzecz. Że ojciec prosił ich tutaj nie po to, żeby posprzątać ogród, ale żeby się pożegnać. Chciał po raz ostatni zobaczyć syna i wnuków. Był przekonany, że jeśli wróci do pracy w szpitalu, to nie wyjdzie stamtąd żywy. Ale i tak wracał.

– Wiesz co... jednak napiłbym się tego piwa – powiedział Mortka.

Ojciec uśmiechnął się pod nosem.

– Już ci przynoszę. – Zrobił krok w kierunku domu, ale zaraz się zatrzymał, odwrócił i nieśmiało wskazał na Andrzeja i Michała.

– Tak. Dla nich też – potwierdził Mortka. Pomyślał, że na to zasługują. Na to wspomnienie jesiennego wieczoru, kiedy siedzą w czwórce dookoła ogniska i piją piwo.

Być może po raz ostatni.

Przebudziła się z płytkiej drzemki. Z zewnątrz dochodził ją monotony szum warszawskiej ulicy i po raz kolejny zaniepokoiło ją to, że tutaj nikt nie strzela. Nie wiedziała, czy dlatego, że aż tak bardzo przyzwyczała się do wybuchów i odgłosów wojny, czy raczej bała się podświadomie, że i tu ludzie rzucą się sobie do gardeł, powietrze zrobi się ciężkie od dymu płonących budynków, a ulice spłyną krwią.

Długo tam wytrzymała. Aż pewnego dnia, po kolejnym bombardowaniu, w drzwiach od tego prowizorycznego schronu, gdzie ukrywała się z rodziną i sąsiadami, przynajmniej tymi, którzy przeżyli, stanął mężczyzna z kałasznikowem w ręku. Nawet nie wiedziała, z jakiej grupy był. Od pewnego momentu zresztą nie miało to żadnego znaczenia. Ani jedno słowo, ani jeden dźwięk nie wydobył się z jego gardła, kiedy skierował lufę w ich stronę, a jego palec dotknął spustu. Skrywał się za chustą, tak że nie widziała jego twarzy. Tylko białka oczu. I po tych oczach widziała, że w tym momencie ten mężczyzna nie jest już człowiekiem. Zmienił się w bezrozumnego upiora, służę w królestwie śmierci.

Nie nacisnął spustu. Jego klatka piersiowa eksplodowała czerwienią, kiedy trafił go pocisk snajpera schowanego gdzieś wśród ruin setki metrów dalej.

Bali się wyjść ze schronu, przekonani, że jeśli tylko się wychyła, oni również staną się celem strzelca. Który przed chwilą ich uratował, ale nie z troski o ich życie, tylko dlatego, że przede

wszystkim pragnął zabijać. Tkwili więc tak bez ruchu przez kilka długich godzin, z martwym żołnierzem leżącym w otwartych drzwiach. Dopiero kiedy zapadł zmrok, jej brat z kolegą odciągnęli gdzieś ciało. A ona tamtej nocy podjęła decyzję, że czas dołączyć do wartkiego strumienia ludzi i uciec z tego przeklętego kraju i zniszczonego miasta.

Jej droga była kręta, dziwna, części jej nie pamiętała, ale w końcu trafiła do Polski, do Warszawy. Miasta, w którym jeszcze nikt nie strzelał na ulicach, a ludzie może i patrzyli na nią wrogo, jednak żaden z nich nie był upiorem.

Usłyszała pukanie do drzwi i od razu wiedziała, kto to. Tylko on stukał tak delikatnie, tak nieśmiało. Jakby miał wyrzuty sumienia, że ją odwiedza. Podniosła się z łóżka. Podeszła do lustra i przejrzała się. Byli tacy, którzy chcieli, żeby witała ich w seksownej bieliźnie. Byli też tacy, którzy żądali, żeby otwierała im naga. Ten był inny. Dla niego ubierała się skromnie, przynajmniej jak na standardy tej pracy. Czarne spodnie, obcisłe, ale bez przesady, bluzka w kwiaty z długimi rękawami. Rozpinała górne guziki, żeby pokazać rowek piersi i koronkę stanika. Czasami mu to odpowiadało, czasami prosił, żeby zapięła. Makijaż delikatny. Ledwo kilka pociągnięć. Podobało mu się jej „naturalne piękno”, jak mówił. Ważne dla niego było, żeby ładnie pachniała.

Poprawiła włosy i otworzyła drzwi. Popatrzył na nią przez chwilę, a potem bez słowa wszedł do mieszkania. Obszedł je, rozglądając się, jakby widział je po raz pierwszy, aż wreszcie usiadł z westchnieniem na stojącym w kącie fotelu. Zaczął się wiercić, jakby coś wbijało mu się w pośladki.

– Dzień dobry – powiedziała. – Chciałbyś coś do picia?

Pokręcił przecząco głową.

– Jak ci minął dzień? Dobrze? Jesteś zadowolony?

Milczenie.

– Zmęczony, prawda? Pozwól, że się tobą zajmę.

Zbliżyła się do niego, ostrożnie stawiając kroki. Klęknięła tuż przed nim. Ale nie po to, żeby zrobić to, czego zazwyczaj na początku żądali wszyscy mężczyźni. Ten nie lubił pośpiechu. Do tej pory zresztą z nim nie spała. Najczęściej chodziło mu tylko o to, żeby spędziła z nim czas. Rozmawiała z nim. Usługiwała mu. Dotykała. I teraz to właśnie robiła. Delikatnie gładziła dłońmi jego uda w czulej i niewinnej pieśczoce.

Chwycił ją za przegub i zacisnął palce tak mocno, że zabolęło. Zbliżył do niej twarz. Poczowała jego kwaśny oddech na swoim policzku. Pomyślała, że to dziwne. Zawsze pachniał miętą, jakby mył zęby tuż przed przyjściem.

– Nie chcę tutaj – powiedział po prostu. – Jedźmy do mnie.

Skinęła głową na znak, że się zgadza. To nie byłby przecież pierwszy raz. Odwiedzała go wcześniej. Za każdym razem jechali do niego jego samochodem. Po wszystkim odwoził ją do mieszkania. Jej opiekun nie miał nic przeciwko. Facet płacił za godzinę. Jeśli chciał wydawać pieniądze na to, żeby ją wozić po mieście, to jego sprawa.

Mieszkał w starym, ale ładnym domu pod Warszawą. Wiedziała, że jest żonaty, ma dzieci, chociaż zawsze chował zdjęcia swojej rodziny. Zabawki pozostawione na korytarzu, ślady po kredkach na ścianach i damskie kosmetyki w łazience były jednak wystarczającą wskazówką.

– Dobrze – odparła.

Puścił ją. Powoli podniosła się z podłogi.

– Włóż kurtkę. Na zewnątrz jest zimno – poradził.

Ubrała się i zeszli na dół. Założył czapkę z daszkiem, która zakrywała mu twarz. Przeszli na parking dwa bloki dalej. Wsiadli do jego samochodu, starego terenowego wozu z odrapanymi drzwiami.

Pojechali, ale teraz zachowywał się inaczej niż zazwyczaj. W ogóle się nie odzywał, a przecież zawsze rozmawiali. To były

spokojne opowieści o niczym. On zaczynał, ale zwykle to ona mówiła. Opowiadała o swoim dniu, pogodzie, samopoczuciu, o tym, co jadła na śniadanie, co na obiad albo nawet o tym, jak sprzątała w mieszkaniu przed jego przyjściem. On słuchał, lekko się przy tym uśmiechając. Kiedy przerywała, zachęcał, żeby mówiła dalej. Teraz jednak milczał spięty, z dłońmi zaciśniętymi na kierownicy tak mocno, jakby chciał ją złamać. Emanowało z niego coś dziwnego, nieprzyjemnego, wrogiego. Jakiś mrok. Coś, czego nigdy wcześniej od niego nie czuła.

Zatrzymał się na skrzyżowaniu. Pochylił się do przodu, żeby zobaczyć, czy coś nie jedzie z boku, i w tym momencie jego kurtka się podwinęła, a ona dojrzała schowany za paskiem na plecach ciemny kształt pistoletu. Przypomniała sobie, jak wiercił się na fotelu w jej mieszkaniu. Już wtedy broń wbijała mu się w ciało.

Serce dziewczyny zaczęło mocniej bić, a w gardle zrobiło się sucho. Po co mu była broń? Dlaczego przyniósł do niej pistolet?

– Możesz się zatrzymać? – zapytała.

– Po co?

– Chciałabym... chciałabym coś kupić. Bo zapomniałam.

– Czego?

– Picia. Chciałabym kupić coś do picia.

– Napij się u mnie w domu.

– Coli. Proszę, zatrzymaj się, bo chciałabym się napić coli.

Proszę...

Poczuła, że do oczu napływają jej łzy, a jej głos zaczyna się łamać. Mężczyzna skrzywił się, na jego twarzy jak w kalejdoskopie odmalowywały się kolejne emocje. Gniew, zniecierpliwienie, strach, wahanie.

Zwolnił i wrzucił kierunkowskaz. Terenowy wóz powoli wjechał się na stację benzynową. Mężczyzna zaparkował go z dala od samego budynku i dystrybutorów z paliwem. Potem, z ociąganiem, wyłączył silnik.

Zrobił to, o co poprosiła, zatrzymał się. Pozwoli jej wysiąść z samochodu i pójść do sklepu. A skoro tak, to nie miał wobec niej złych zamiarów. Inaczej przecieżby jej nie wypuścił. Poczowała wstyd, że źle o nim pomyślała. Zawsze był dla niej taki dobry, najlepszy ze wszystkich tych, którzy ją odwiedzali. Ale przyniósł broń. Działo się coś złego. Dlatego był taki spięty. Obsesowy. Nieprzyjemny.

Odpięła pasy, sięgnęła po klamkę, jednak zawahała się w ostatniej chwili. Skoro nie chciał jej zrobić krzywdy, nie było po co wychodzić z samochodu. Zresztą i tak nie miała pieniędzy.

Mężczyzna siedział bez ruchu z lekko pochyloną głową i wzrokiem wbitym w deskę rozdzielczą.

– Coś się stało? – zapytała, bo poczuła, że chce mu pomóc. – Coś złego? Dlatego nosisz ze sobą broń?

Kiedy wymówiła ostatnie słowo, obrócił się gwałtownie. Wystarczyło tylko, że spojrzała w jego oczy. Były takie same, jak oczy tamtego mężczyzny, daleko od Warszawy, który stanął z kałaznikiem na progu ich schronu. To były oczy upiora. Oczy sługi śmierci.

Były różne rodzaje ciszy, ale Barbara nienawidziła ich wszystkich. Nie od zawsze, od niedawna, bo wcześniej czuła się w niej tylko nieswojo. Kiedy o tym opowiadała mężowi, on tylko uśmiechał się pod ciemnym wąsem i mówił, że to z powodu jej wychowania. I faktycznie, wychowała się w niewielkim mieszkaniu z trójką braci i siostrą. Zawsze był u nich harmider, zawsze coś się działo, zawsze ktoś się kłócił. Jej mama śmiała się, że jeśli jest cicho, to znaczy, że ktoś umarł.

– A teraz żyjesz jak człowiek – ciągnął z dumą jej mąż. – Spokój masz. Ciesz się nim.

Ale nie potrafiła. Dlatego tak bardzo uradowała się, kiedy pojawił się Łukasz. Jego krzyk, bieganie po całym mieszkaniu, zabawy, nawet płacz – to wszystko sprawiało, że była szczęśliwa. Karol na odwrót. Zamykał się w swoim gabinecie, a kiedy z niego wychodził, to z zatyczkami wciśniętymi głęboko w uszy. Pewnego dnia uznał, że Łukasz jest już w tym wieku, kiedy można od niego wymagać. No to wymagał. Ciszy i spokoju, bo tatuś pracuje. Jej syn miał wtedy cztery lata. A potem, dwa mgnienia oka później, był już nastolatkiem i sam się chował w swoim pokoju, sam tworzył wokół siebie kokon ciszy, zakładał słuchawki, słuchał tej swojej muzyki, pisał, rysował, milczał i łamał jej serce.

Barbara pragnęła kolejnego dziecka, ale Karol nie chciał się zgodzić. A jak on się na coś nie zgadzał, to tego nie było.

A potem Łukasz umarł, a ona znienawidziła ciszę.

Najgorsza była ta w jego pokoju. W dawnym pokoju, bo ledwo go pochowali, to Karol przyprowadził do domu jakichś ludzi, których nigdy nie widziała, i kazał im zabrać wszystkie meble. Większość rzeczy popakował w worki i wyrzucił na śmieci, ubrania oddał Caritasowi. Jej pozwolił zostawić sobie tylko kilka pamiątek.

– Tak będzie lepiej – tłumaczył.

– Jak to lepiej? Co lepiej?

– Lepiej dla ciebie – powiedział, przybierając ten nieznośny, dydaktyczny i pełen wyższości ton, a jej od razu łzy napłynęły do oczu, bo przypomniała sobie, jak Łukasz go parodiował, kiedy byli pewni, że Karol ich nie słyszy. Groziła mu wtedy palcem, ale szeroki uśmiech sam pojawiał się na jej twarzy, a zaraz po nim dziewczęcy chichot. – Żebyś nauczyła się żyć dalej. Bo przed tobą przecież jeszcze tyle szczęśliwych dni. Wiem, że jeszcze tego nie widzisz, ale wierz mi, tak będzie. Każda rana się kiedyś zasklepi.

Chciała go wtedy uderzyć. Jak śmiał mówić takie rzeczy, jak takie słowa były w stanie w ogóle przejść mu przez gardło? Ale oczywiście go nie uderzyła. Jej cały bunt sprowadził się do tego, że tym razem nie pokiwała potulnie głową. On zaś, zupełnie nie zauważając gniewu, który w niej buzował, pogłaskał jej dłoń, wziął kubek z gorącą herbatą i wrócił do swojego gabinetu.

Potem powiedział, że mogą coś w tym pokoju zrobić. Może warsztat dla niej. A może powinni komuś wynająć. Na samą myśl o tym chciało jej się wymiotować. Nie wyobrażała sobie, żeby w pokoju jej syna mógł zamieszkać ktoś inny. Zresztą to było niemożliwe. Karol nie zniósłby kogoś obcego w swoim domu. Z trudem przecież znosił Łukasza. Tak więc pokój był pusty i niepodzielnie panowała w nim cisza. Cisza, której nienawidziła, ale w której tkwiła godzinami. Zamykała się bowiem w pomieszczeniu, gdzie kiedyś żył jej syn, siadała na podłodze, wpatrywała się w puste ściany i szukała wzrokiem ostatnich śladów jego istnienia.



Pukanie do drzwi. Skrzywiła się. Nienawidziła ciszy, ale nie lubiła, kiedy ktoś ją naruszał. Nie ruszyła się. Nic nie powiedziała.

Znowu pukanie. Tym razem bardziej natarczywe. Zamknęła powieki. Miała nadzieję, że ktokolwiek stoi po drugiej stronie drzwi, zniecierpliwi się i po prostu sobie pójdzie.

Nie poszedł.

– Czy ktoś może otworzyć?! – krzyknął Karol ze swojego gabinetu.

Zauważyła, że od pewnego czasu przestał używać zatyczek. Zabolą ją to. Mocno. Nie było już Łukasza, powiedział jej tym gestem, nie było już nikogo, kto mógłby mu przeszkadzać, więc zatyczki powędrowały do kosza.

– Otworzy ktoś?! – krzyknął powtórnie.

Ktoś. Niby kto? Byli przecież tylko oni dwoje.

Pukanie, które zmieniło się w walenie.

– Baśka!

Nie wstała. Otoczyła głowę ramionami.

Walenie.

– Cholera jasna! Idę! Idę!

Usłyszała jego kroki na korytarzu. Podszedł do drzwi. Walczył przez chwilę z zamkami, aż wreszcie udało mu się je otworzyć.

– Tak? Słucham? – powiedział, a w jego głosie usłyszała zaskoczenie.

– Pan Karol Gunther? – Młody głos. Męski. Przytłumiony lekko przez noszoną na twarzy maseczkę.

– Przecież sami wiecie.

– Słucham?

– Przychodźcie mi do domu, znacie mój adres. Kogo innego spodziewaliście się tutaj zastać? Conchitę Wurst?

– Różne rzeczy się zdarzają, proszę pana. Różni panowie już nam drzwi otwierali.

– Co to niby ma znaczyć?

- Nic. Pan Karol Gunther?  
Jej mąż westchnął z irytacją.
- Tak, to ja.
- Poprosimy z nami na komendę.
- Po co?
- W sprawie zabójstwa pana Tymoteusza Kota.
- Powiedziałem wam już wszystko, co wiedziałem. Nie mam nic do dodania.
- Rozumiemy, ale prowadzący sprawę chciałby o coś jeszcze dopytać.
- Niby o co?! Przecież wszystko wam już powiedziałem, kurwa!
- Chwila milczenia.
- Proszę pana, ale to nie nasza wina. My tylko robimy, co nam kazano. Jest prośba, żeby przyszedł pan na komendę i odpowiedział na kilka pytań. I tyle.
- Ale jakich pytań?
- A o tym to może pan już porozmawiać z prowadzącym, kiedy się spotkacie.
- Nie mam czasu.
- Proszę pana, my rozumiemy, że pan już wiele razy o tym wszystkim opowiadał. Ale naprawdę prowadzący coś tam musi uściślić. I dlatego bardzo pana prosi, żeby pojawił się pan na komendzie – kontynuował młody głos.
- Jeszcze prosi – dorzucił trochę starszy.
- A to niby co znaczy?
- No to, że staramy się po grzeczności. Ale jak trzeba będzie, to i karę możemy nałożyć, a nawet przymusowo doprowadzić. Ale po co robić awanturę?
- Nie mogę iść.
- Dlaczego, proszę pana?
- Żonę mam zawieźć do lekarza.

– Właśnie dzisiaj?

– Dzisiaj. Pan wie, jak teraz się trudno umówić na wizytę w tej pieprzonej pandemii? Nie może nam ten termin przepaść.

– Poradzę sobie – odezwała się, wyłaniając się z pokoju syna.

Przed nią w otwartych drzwiach stało dwóch policjantów. Jeden młodszy, drugi trochę starszy. Na twarzach mieli czarne maseczki, tak że widziała tylko ich oczy.

– Kochanie?

– Już dzwoniłam do Kasi – powiedziała. – Obiecała, że mnie zawiezie. Możesz iść z panami policjantami.

To było oczywiście kłamstwo. Nie dzwoniła do Kasi, swojej przyjaciółki, nie miała przecież kiedy, ale nie czuła z tego powodu wyrzutów sumienia. Zresztą ta wizyta u lekarza też była wymyślona. Karol rzucił pierwszą rzecz, która przyszła mu do głowy, żeby tylko nie iść z policjantami. A teraz, kiedy na nią patrzył, dostrzegła złość za brudnymi szklami jego okularów i poczuła coś na kształt gorzkiej satysfakcji.

– Panie Karolu...

– Wezmę tylko kurtkę – mruknął niezadowolony i zaczął grzebać w szafie.

– To nie zajmie długo – rzucił jeden z policjantów. Nie wiadomo czy do niego, czy do niej.

– Pojedziemy pańskim samochodem – dodał drugi, ten starszy.

– Co takiego? – zdziwił się Karol, wkładając buty.

– Kolega musi jechać wspomóc inny patrol, zabiera radiowóz. Pojedziemy pana wozem, dobrze?

– Mogę sam pojechać.

– No, ale ja muszę z panem. Jeszcze papiery podpisać na komendzie.

– I przypilnować mnie, czy na pewno dotrę na miejsce, co?

Policjant nie odpowiedział. Karol skończył się ubierać i pokręcił z dezaprobatą głową.

– Kurwa – mruknął. – Co za kraj.

Wyszedł, nie zaszczycając jej nawet spojrzeniem. Trzasnął tylko z całych sił drzwiami. A potem w mieszkaniu znowu zapanała cisza.